Wydanie z dnia: piątek, 14. maj 2021 » Dziennik Gazeta Prawna

Innego końca świata nie będzie

SPOŁECZEŃSTWO

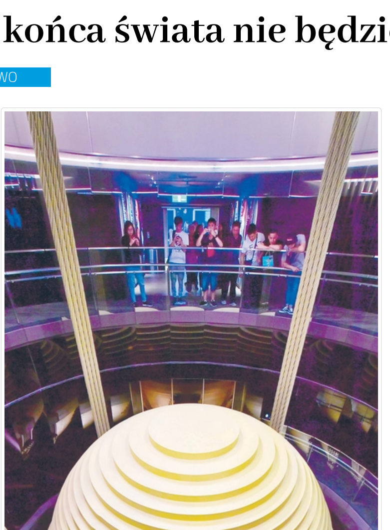

fot. Yuri Smityuk/TASS via Getty Images
Olbrzymia przeciwwaga na szczycie wieżowca Taipei 101 (509,2 m wysokości) w Tajpej na Tajwanie

Historia ludzkości przypomina spacer po linie nad przepaścią. Jesteśmy o włos od katastrofy, ale po mistrzowsku potrafimy jej unikać

Czy koronawirus zmutuje w odmianę oporną na szczepionki i zakończy historię ludzkości? Cóż, hipotetycznie jest to możliwe. A jeśli nie zabije nas koronawirus, pewnie zrobią to zbuntowane roboty albo zmiany klimatyczne. Armagedon musi przecież nadejść (musi, prawda?). Do wybuchu pandemii na potencjalną przyczynę naszego końca typowano najczęściej klimat; np. w 2019 r. australijski think tank Breakthrough ogłosił, że z powodu zmian pogodowych cywilizacja upadnie przed 2050 r. Ale czy faktycznie ludzkości grozi wyginięcie?

Owszem, musi stawiać czoła zagrożeniom różnego kalibru, ale jako gatunek jest odporna na apokalipsę. Poradziłaby sobie nawet z asteroidą (i to bez dzielnego Bruce’a Willisa). Dlaczego więc dominuje narracja, że kroczymy ku zagładzie? Dlaczego popadliśmy w katastroficzną obsesję? To częściowo wynik ignorancji, a częściowo mody na deprecjację znaczenia człowieka. Nawet naukowcy, te chłodne umysły, popadli w stan zamroczenia strachem. W marcu 2021 r. na łamach „Nature” ukazał się raport, który to ilustruje. Przeanalizowano w nim 168 badań na temat małej epoki lodowcowej, trwającej od XVI do XIX w., które ujrzały światło dzienne w ciągu ostatnich 20 lat. 77 proc. z nich koncentrowało się na kataklizmie, a tylko 10 proc. – na ludzkiej zdolności do radzenia sobie z trudnościami.

Szansa czy zagrożenie?

Obsesja na punkcie katastrofy klimatycznej, podgrzewana przez media, przysłania nam racjonalny osąd i zabija wiarę w to, że do wszystkiego jesteśmy zdolni się przystosować – to przesłanie najnowszej książki Bjørna Lomborga „False alarm”(Fałszywy alarm). To kontrowersyjny, lecz przez to interesujący duński ekonomista klimatu, który od lat punktuje słabości narracji strachu. Uznaje antropogeniczne czynniki zmian klimatycznych, ale nie dostrzega w nich egzystencjalnego zagrożenia. „Sondaż z 2016 r. wykazał, że w krajach tak różnych jak Zjednoczone Emiraty Arabskie i Dania większość ludzi uważa, że sytuacja się pogarsza, a nie poprawia. W Wielkiej Brytanii i USA 65 proc. ludzi jest pesymistycznie nastawionych do przyszłości. Sondaż z 2019 r. wykazał, że prawie połowa światowej populacji wierzy, iż zmiany klimatyczne prawdopodobnie zakończą historię rasy ludzkiej. W USA cztery na dziesięć osób uważa, że globalne ocieplenie doprowadzi do wyginięcia ludzkości. Jeśli dorośli po prostu się martwią, to dzieci są przerażone. Sondaż «Washington Post» z 2019 r. wykazał, że wśród amerykańskich dzieci w wieku od 13 do 17 lat 57 proc. odczuwa strach przed zmianami klimatycznymi, 52 proc. złość, a 42 proc. poczucie winy (...)” – zauważa Lomborg. I wskazuje, że choć zmiany klimatyczne będą miały negatywny wpływ na świat, przyćmią go znacznie silniejsze trendy pozytywne w innych dziedzinach. „Aktualne badania pokazują, że koszt zmian klimatycznych do końca wieku, jeśli nic nie zrobimy, wyniesie ok. 3,6 proc. światowego PKB. Obejmuje to wszystkie negatywne skutki; nie tylko zwiększone koszty związane z silniejszymi burzami, ale także koszty zwiększonej liczby zgonów z powodu fal upałów i koszty utraty terenów w wyniku podnoszenia się poziomu mórz. Oznacza to, że zamiast wzrostu dochodów o 450 proc. do 2100 r., wzrosną one «tylko» o 434 proc. Jest to niewątpliwie problem, ale nie jest to katastrofa” – pisze Lomborg, zaznaczając, że to wyliczenia pochodzące od ekspertów klimatycznej agendy ONZ.

Jak zwraca uwagę Kate Yoder w artykule z serwisu Grist.org, zainteresowanie tematyką końca cywilizacji powodowanego kwestiami środowiskowymi wzrosło w 2005 r. wraz z publikacją książki Jareda Diamonda „Upadek”. „Weźmy opisaną w niej historię Wysypy Wielkanocnej. Książka stawiała tezę, że populacja wyspy została zdziesiątkowana, ponieważ mieszkańcy wycięli i spalili drzewa, i czyniła z tej historii przestrogę, co może się zdarzyć, gdy niszczymy przyrodę. Nowe odkrycia na temat wyspy są bardziej skomplikowane. Według archeolog Catrine Jarman deforestacja była wynikiem plagi gryzoni, a spadek populacji wynikiem handlu niewolnikami w XIX w. i chorób przywiezionych przez Europejczyków. Badania sugerują, że grupy tubylcze były na ogół wyjątkowo dobre w adaptowaniu się do zmian klimatycznych poprzez migracje i zmiany w dystrybuowaniu zasobami” – pisze Yoder.

Z tej perspektywy to, co dzisiaj ma być tragicznym skutkiem zmian klimatu (np. masowe migracje), będzie znanym z historii rodzajem dostosowania się do nowej sytuacji. ONZ szacuje, że do 2050 r. klimatyczne migracje będą udziałem od 25 mln do 1 mld ludzi. Abstrahując od absurdalnej rozpiętości tej prognozy, można widzieć w tym eksodusie ogromną szansę. Oto masy ludzkie z rejonów skrajnie ubogich, w których produktywność jest bardzo niska, wyemigrują do regionów bogatych, w których produktywność jest wysoka. Migranci ci będą mogli zaliczyć awans materialny, zapomnieć o niedostatku i głodzie. Kraje, które będą ich przyjmować, także skorzystają – to państwa bogate, ale starzejące się, potrzebują więc milionów ludzi w wieku produkcyjnym. Ale żeby te korzyści się w pełni zmaterializowały, potrzeba otwartych granic i odrzucenia nacjonalizmu, utrzymującego, że obcy to zagrożenie. Potrzeba wypracowania ram racjonalnej gościnności wobec przybyszów – likwidacji barier na rynkach pracy, zniesienia zasiłków, rozbudowy instytucji wspierających samodzielność. Ekonomista Bryan Caplan z George Mason University przekonuje, że samo otwarcie światowych granic ze względu na nagły skok produktywności mogłoby oznaczać podwojenie światowego PKB. To jak przesiadka z passata do mercedesa klasy S. Jest o co walczyć.

Kraj trzęsącej się wiśni

Nathanael Massey na łamach portalu Scientificamerican.com zauważa, że już kilkakrotnie w historii uderzały w nas zmiany klimatu, jednak za każdym razem ludzkość wychodziła z opresji silniejsza. Massey przytacza także wypowiedzi naukowców przekonujących, że nieustanne oddziaływanie zmiennej pogody przyczyniło się do powstania zdolności adaptacji. Możliwe więc, że poddawani ciągłemu testowi stajemy się sprytniejszym gatunkiem.

Niestety w strategii dotyczącej zmian klimatu bierze się pod uwagę kwestie adaptacji w ograniczonym zakresie, w dodatku strategia jest podporządkowana mało realistycznemu celowi: zapobieżeniu tym zmianom. Mało realistycznemu, bo nieznajdująca żadnego pozytywnego precedensu wiara w stałą globalną kooperację polityczną (w kwestiach redukcji emisji CO2 taka współpraca jest warunkiem koniecznym jej skuteczności) nie może być silniejsza niż wiara w możliwość skutecznych lokalnych adaptacji, których przykłady nas otaczają.

W Japonii co roku notuje się ok. 5 tys. trzęsień ziemi, z czego siła ok. 160 przekracza 5 stopni w skali Richtera, czyli jest co najmniej odczuwalna i powoduje niewielkie zniszczenia. Ale nawet te silniejsze wstrząsy nie sprawiają, że Japonia, w której średnia gęstość zaludnienia to 347 osób na km kw. (w Polsce to 123 osoby), co roku wali się w gruzy, grzebiąc pod nimi tysiące istnień. Oczywiście zdarzają się wyjątkowo dramatyczne kataklizmy, jak ten z 2011 r., gdy zginęło ok. 20 tys. osób, ale to wyjątki. Regułą jest, że zazwyczaj w danym roku suma zabitych i rannych w wyniku trzęsień nie przekracza 100 osób. Jak Japończycy to osiągają? Rozwijają technologie. Na przykład w każdym pociągu znajduje się czujnik, który po wykryciu wstrząsów automatycznie spowalnia bądź zatrzymuje skład, zapobiegając wykolejeniu. W wieżowcach montowane są przeciwwagi, które kontrują poruszenia konstrukcji wywołane wstrząsami. Zwykłe domy budowane są na fundamentach zdolnych absorbować wstrząsy, a gaz czy elektryczność są automatycznie odcinane. Niemal 90 proc. budynków w Tokio można uznać za odporne na trzęsienie ziemi. Ważny jest również czynnik ludzki. Japończycy dobrze wiedzą, jak się zachować – są w tym celu szkoleni od przedszkola. Aplikacje w smartfonach informują ich o zagrożeniu, a ci spokojnie, w zdyscyplinowany sposób podporządkowują się procedurom bezpieczeństwa. Zaadaptowali się.

Globalnie w ciągu ostatnich 100 lat dzięki technologii ludziom udało się ograniczyć liczbę zgonów w wyniku katastrof naturalnych ze średnio ok. 500 tys. rocznie do ok. 70 tys. Ten postęp robi jeszcze większe wrażenie, gdy liczby te przefiltrujemy przez pęczniejącą demografię. W 2019 r. na 100 tys. osób umierało z takich przyczyn rocznie zaledwie 0,15 osoby (brzmi to niezgrabnie, ale chodzi o statystykę). W 1919 r. dwukrotnie więcej, bo 0,3 (rok 1919 był wyjątkowo spokojny), ale w 1928 r. aż 148. Lomborg twierdzi, że aby uniknąć potencjalnych śmiertelnych ofiar zmian klimatu, można zastosować relatywnie proste i tanie rozwiązania. Jeśli znacznie zwiększymy liczbę parków i obiektów wodnych, obniżmy średnią temperaturę w miastach w czasie upałów. Podobny efekt da pomalowanie asfaltu oraz dachów budynków na biało, bo zwiększy się współczynnik odbicia światła. „Jedno z badań z 2017 r. pokazuje, że wprowadzenie na szeroką skalę chłodnych dachów i dróg na całym świecie będzie kosztować około 1,2 bln dol. w ciągu stulecia, ale zapobiegnie szkodom klimatycznym wartym prawie 15 razy więcej. Zbyt często jednak media traktują chłodne dachy i drogi jako dziwactwa, a nie poważne działania. Media poświęcają o wiele więcej uwagi zielonym dachom z ogrodami, wodą, mchem i roślinami, prawdopodobnie dlatego, że wydają się o wiele bardziej urocze. Niestety zielone dachy to kiepski interes, jeśli chodzi o klimat” – pisze Lomborg.

Konieczne zmiany funkcjonowania miasta jako drogę do unikania zagrożeń w przyszłości wskazuje Annalee Newitz, popularyzatorka nauki i autorka książki „Scatter, adapt, remember” („Rozprosz, adaptuj się, pamiętaj”). Opisuje w niej rozwiązania, które mogą okazać się kluczowe dla ratowania ludzkości – podziemne miasta na wypadek wojny jądrowej czy geoinżynieryjne metody regulowania temperatury planety.

A my żyjemy

Żeby móc korzystać z ratujących życie technologii adaptacyjnych, potrzeba pieniędzy. To dlatego przykładem pozytywnym radzenia sobie z katastrofami jest Japonia (PKB per capita – 40 tys. dol.), a nie Haiti (PKB per capita – 1,2 tys. dol.). Musimy mieć zasoby do adaptacji. Oznacza to, że musimy nieustannie podnosić poziom swojego życia.

W tym kontekście niezwykle niebezpieczne są popularne ostatnio mrzonki o tym, że to, co mamy, już nam wystarczy. Nie wystarczy. Ale wciąż wszystko zależy od nas. Pamiętajmy, że sama natura jako byt pozbawiony świadomości nie ma zamiaru nas zniszczyć – i dlatego w pewnym sensie łatwiej sobie z nią radzić niż z drugim człowiekiem. Na naturę trzeba znaleźć sposób, obchodząc się z nią np. po japońsku, ale prawdziwe „piekło to inni”, jak mawiał Jean Paul-Sartre – i należy te słowa odnieść do tych innych, zaburzonych jednostek, które dochodzą do władzy, by realizować wizje takie jak absolutna równość i brak własności czy poszerzanie lebensraumu kosztem grupy uznanej za podludzi. Nawet jednak szaleniec z planem i zasobami nie jest w stanie doprowadzić do wyginięcia nie tylko całej ludzkości, ale nawet jednego narodu. Owszem Hitler wymordował miliony Żydów, ale koniec końców ci przetrwali, budując jedno z najnowocześniejszych oraz najbogatszych państw świata. Hitler zadał ogrom cierpienia, lecz poniósł klęskę.

Studium tego, jak ludzie funkcjonowali w czasach reżimów totalitarnych czy pod okupacjami, to wielowątkowa opowieść o zdolności radzenia sobie w ekstremalnych okolicznościach i koniec końców – przetrwania. Weźmy okres okupacji hitlerowskiej w Polsce, gdy przeżycie umożliwiał pełen wigoru czarny rynek. „Teraz jest wojna, kto handluje, ten żyje” – znacie te słowa? Właśnie. Ludzie są kreatywni i sprytni. Podobnie bywało z klęskami głodu od zawsze towarzyszącymi wojnom i będącymi trwałymi cechami systemów totalitarnych (Korea Północna, gdzie średnie spożycie kalorii na osobę jest o połowę mniejsze niż w Korei Południowej). W wyniku klęsk głodu ludzie wznosili się na wyżyny jedzeniowej kreatywności – kora, korzenie, pokrzywy, obierki ziemniaków, a nawet słoma, substraty w czasach tłustych nieatrakcyjne, w czasie niedoborów pozwalały doczekać lepszych dni. I, co ciekawe, wiele z tych kulinarnych innowacji pozostawało w menu nawet, gdy te lepsze dni już nadchodziły, jak chociażby zupa z pokrzyw.

Oczywiście powyższe przykłady dotyczą niewyobrażalnych nieszczęść i lepiej, jeśli nie będziemy musieli ponownie się z nimi mierzyć. To jednak nie jest pewne. Pocieszające jest to, że nawet one nie są w stanie zepchnąć nas na ścieżkę ostatecznego zatracenia. Postapokaliptyczny świat z „Mad Maxa” w istocie nie byłby wiecznym stanem nieustającej wojny wszystkich ze wszystkimi i braku nadziei na lepsze jutro, a tylko fazą, z której ludzkość wyszłaby szybciej, niż może się nam wydawać. Z okna pokoju, w którym piszę ten artykuł, widzę najlepszy na to dowód – Kopiec Powstania Warszawskiego, kryjący w sobie ruiny zburzonej stolicy, budowanej przez setki lat, zburzonej w kilka miesięcy, ale odbudowanej w kilka dekad. To sprawia, że nie wierzę, że ludzkość wychodziła z opresji przypadkiem, dzięki zbiegom okoliczności i zwykłemu szczęściu albo dzięki wyjątkowo przychylnym wyrokom Opatrzności. Nie. Działo się to zbyt często, by tłumaczyć to w ten sposób.

Piosenka Miłosza

Ludzie jako kolektyw posiadają zdolność do adaptowania się i do przekuwania zagrożeń w szansę. Umiejętność tę nabyliśmy prawdopodobnie w drodze ewolucji, nie była nam dana od początku. Jej nośnikiem jest umysł, a tym jest ona większa, im ludzkie umysły ściślej są ze sobą splecione i kooperujące oraz im jest ich więcej. W ten sposób można najlepiej wykorzystywać rozproszoną, unikatową wiedzę, którą dzierży każdy z nich.

Gdy mówimy „umysł”, mówimy o potężnej biologicznej maszynie, której funkcjonalności wymagałyby od komputera – jak wyliczył badacz Henry Markram, szef Human Brain Project – operowania przestrzenią dla ok. 500 petabajtów (biliardów bajtów) danych. Dzisiaj jest tychże umysłów prawie 8 mld i są ze sobą splecione jak nigdy wcześniej w historii. Dlatego unikną zgubnych skutków zmian klimatu i wymyślą sposób na wirusy. Ale zdolne są do rzeczy jeszcze większych. Gdyby dziś okazało się, że za rok w Ziemię uderzy meteoryt, nie zainwestowałbym w schron, lecz raczej z zainteresowaniem obserwował niezwykłe zjednoczenie najpłodniejszych umysłów świata w celu neutralizacji zagrożenia.

Bo znając historię, trudno nie być optymistą. Świat miał kończyć się przy byle okazji, a jednak trwamy. Skąd biorą się pesymiści? W każdej epoce historycznej ich plemię było znacznie liczniejsze niż optymistów. Dzisiaj także mają oni większe wzięcie. Należą do nich często, jak na ironię, te same genialne umysły, w których powinniśmy upatrywać nadziei. Na przykład fizyk Stephen Hawking obawiał się, że istnieniu rasy ludzkiej – obok zmian klimatycznych, genetycznie zmodyfikowanych wirusów i wojny nuklearnej – zacznie zagrażać sztuczna inteligencja. – Mimo że szanse na taki kataklizm w danym roku są dość niskie, to kumulują się w czasie i jest niemal pewne, że wydarzy się on w ciągu najbliższych 10 tys. lat – mówił z matematyczną precyzją w 2016 r. w wywiadzie dla BBC. Trudno zakładać, że Hawking chciał – tak jak wielu współczesnych proroków końca – zarabiać na strachu. Jego intencje były szczere, a przestrogi nie sprowadzały się do siania paniki, bo oferował też recepty. Jedna z nich to zasiedlenie innych planet. W czasach Elona Muska kolonizacja przestrzeni kosmicznej przestaje być mrzonką. Konstruktywni pesymiści jak Hawking koniec końców pełnią pożyteczną funkcję sygnalizatorów. Mogą mylić się co do tego niebezpieczeństwa oraz co do potencjalnych sposób jego uniknięcia, ale zwykle nie mylą się co do tego, że jakieś niebezpieczeństwo istnieje. Zwracają przez to uwagę 8 mld umysłów na problem, tym samym przyczyniając się do jego rozwiązania. Prorokując koniec świata, pomagają go unikać.

To jednak nie znaczy, że świat się nigdy nie skończy. W skali czasowo dla nas niepojmowalnej i jako takiej nieistotnej, nasza planeta po prostu kiedyś umrze, kondensując się w czeluściach czarnej dziury. Wcześniej spali ją żar umierającego Słońca – ale to za minimum 1,75 mld lat, więc pewnie zdążymy już zasiedlić inne planety. Ale świat w pewnym sensie kończy się codziennie – dla tych, którzy zeń odchodzą. W ten powszedni, mało spektakularny rodzaj końca świata uwierzyć nam jednak najtrudniej. Śmierć bierze wszystkich, tylko nie mnie, nie teraz. Jak pisał Czesław Miłosz w „Piosence o końcu świata” ci, którzy „czekali błyskawic i gromów, są zawiedzeni” i „nie wierzą, że staje się już”, ale „innego końca świata nie będzie”. ©℗

Nathanael Massey zauważa, że kilkakrotnie w historii uderzały w nas zmiany klimatu, jednak za każdym razem ludzkość wychodziła z opresji silniejsza. Massey przytacza także wypowiedzi naukowców przekonujących, że nieustanne oddziaływanie zmiennej pogody przyczyniło się do powstania zdolności adaptacji. Możliwe więc, że poddawani ciągłemu testowi stajemy się sprytniejszym gatunkiem

Autor
Sebastian Stodolak

Poprzedni artykuł
Jak powstrzymać ewakuację

Następny artykuł
Sprawy obyczajowe, nie ekonomiczne

INFOR BIZNES
TELEFON: 22 761 31 27
EMAIL: edgp@gazetaprawna.pl
ADRES: ul. Okopowa 58/72, Warszawa

NA SKRÓTY
STRONA GŁÓWNA
CZYTAJ E-WYDANIE
PRENUMERATA
BIBLIOTEKA WYDAŃ
STREFA EKSPERTA
JAK TO DZIAŁA
REGULAMIN
OCHRONA PRYWATNOŚCI

TYGODNIKI DLA PRENUMERATORÓW
PODATKI I KSIĘGOWOŚĆ
RACHUNKOWOŚĆ I AUDYT
PRAWNIK
FIRMA I PRAWO
SAMORZĄD I ADMINISTRACJA
KADRY I PŁACE
UBEZPIECZENIA I ŚWIADCZENIA
TYGODNIK GAZETA PRAWNA

NASZE SERWISY: Gazeta Prawna.pl | Forsal.pl | Dziennik.pl | Zapis na newslettery
NASI PARTNERZY: Infor PL S.A. | Infor IT

© 2021 INFOR.PL